Jan Piotrowski

„Ojciec cudzych dzieci..."

POLIGRAFIKA

„OJCIEC CUDZYCH DZIECI"...

TEGOŻ AUTORA:

JAN HERDYM — „POEZJE". W-wa 1908. Druk. Bogusławskiego. Wyczerp.

„UMARŁE RĘCE" — Wydawnictwo W. K. P. P. S. Łódź, 1945. Wyczerpane.

„OJCIEC CUDZYCH DZIECI..."

WSPOMNIENIE O „STARYM DOKTORZE" JANUSZU KORCZAKU

SKREŚLIŁ JAN PIOTROWSKI

1 9 4 6

WYDAWNICTWO „POLIGRAFIKA" ŁÓDŹ

Okładkę projektował Paweł Świątkowski
Złożono i odbito w drukarni
Łódzkiego Instytutu Wydawniczego
Łódź, ul. Żwirki 17.

D. 06432

Ręce, w które padają dukaty i kosztowne kamienie. nie znurzą się nigdy służeniem. Ale służba taka jest tylko na własny pożytek i nie jest naszym zamiarem.

Leonardo da Vinci.

„Żyłeś? Ile przeorałeś? Ile wypiekłeś chlebów dla ludzi? Ile zasiałeś? Zasadziłeś drzew? Ile ułożyłeś cegieł pod budowę, zanim odejdziesz? Ile przyszyłeś guzików, łatałeś, cerowałeś? Komu i ile dałeś ciepła? Jaka była twoja służba? Jakie nagłówki etapów twej drogi? Nie ważne, czy neony rzęsiście oświetlone, czy przy lampce naftowej. Kogoś wsparł, gdy ten chwiał się, kogoś uczył, drogę wskazywał? Nie spekulując na pokaz i wdzięczność, nie żądając zapłaty?

„Samotność starości — pamiętnik — i spowiedź — i bilans — i testament. Troska, by przekazać. Co i komu? ...Sztandar! Poniesie w życie syn — jedynak...?"

Tym zaniepokojonym, choć jednocześnie pełnym nadziei znakiem zapytania zakończył jedną ze swoich „gadaninek" radiowych umiłowany przez słuchaczy prelegent, Janusz Korczak (Henryk Goldszmid). Przed mikrofonem Polskiego Radia przemawiał pod skromnym, lecz jakże trafnie obranym pseudonimem „Starego Doktora". Cytowaną

wyżej „gadaninkę” p. t. „Samotność starości” wygłosił półtora roku przed wybuchem drugiej wojny światowej. I dla nas, którzy mieliśmy szczęście znać go bliżej, słowa te brzmiały wówczas rzeczywiście, jak spowiedź. A dzisiaj brzmią jak testament. Bo dobry „Stary Doktór” już nie żyje, w roku 1942 zamordowany przez niemieckich oprawców.

Umarł jak bohater. Umarł w wytartym oficerskim mundurze lekarza wojskowego, który włożył w dniu wkroczenia okupanta do stolicy i nosił ostentacyjnie aż do śmierci. I umarł bez opaski z gwiazdą sjońską na ramieniu, jaką niemcy piętnowali setki tysięcy żydów, spędzonych do ghetta warszawskiego. Ani razu nie ugiął się i nie upokorzył przed wrogiem, jego przemocy i bestialstwu przeciwstawiając spokojną odwagę niczym nie zachwianego przekonania. Nawet wówczas, w tych potwornych „czasach pogardy”, wszystko było dla niego tak jasne, że aż przeźroczyste. Jak przez krwawą szybę patrzył poprzez opary wojny ufnie i prosto w twarz wieczności. A kiedy dnia pewnego jakiś stupajka hitlerowski warknął nań z oburzeniem, jak śmie nie stosować się do „prawa”, nakazującego żydom nosić opaski, odparł:

„— Znam w życiu prawa dwojakie: prawa ludzkie, przemijające i prawa boskie,

wieczne. Staram się żyć zgodnie z prawami boskimi. Zaś przepis o noszeniu opasek przez żydów skłonny jestem uważać za prawa przemijające i nie mam zamiaru ich honorować".

Wprowadzając w osłupienie siepaczy taką postawą, jednocześnie z uśmiechniętą stanowczością odrzucał Korczak wszystkie propozycje i prośby przyjaciół, którzy chcieli go wyprowadzić z coraz groźniej zamykających się murów ghetta. Bo, wychodząc po za te mury, musiałby opuścić swój sierociniec, w którym małe „Mośki, Jośki i Srule" wyglądały niecierpliwie co rano, czy już wreszcie nadchodzi ich największy dorosły Przyjaciel.

„Stary Doktór", który zeszedł ze świata bezpotomnie, był zawsze ojcem cudzych dzieci. Na wiele lat przed okrutną ostatnią wojną stworzył dwa sierocińce: żydowski przy ul. Krochmalnej 92 i chrześcijański w Pruszkowie, przeniesiony później na Bielany. Sierociniec na Bielanach prowadziła Maria Falska — duszą, mózgiem i sercem sierocińca przy ul. Krochmalnej był Korczak. I teraz w tym ponurym okresie, w którym wzmożony instynkt samozachowawczy przemieniał w kamienie słabsze serca ludzkie, stał się Korczak według relacji Marka Podkowińskiego: „wielkim jałmużnikiem żydowskiego dziecka, sponiewieranego,

lżonego, głodzonego nietylko przez śmiertelnego wroga, ale i przez własnych braci. W ghetcie bowiem panowało prawo dżungli. Nikt nie myślał o losie małych sierot, skoro własne dzieci zaledwie mógł nakarmić. Ale Korczak bronił tych piskląt do kresu swoich sił. Zawsze miał na zawołanie uśmiech, skoro tylko dostrzegł maleńkie dziecko, samotnie bawiące się w rynsztoku. Podnosił malca, wypytywał, i najczęściej zabierał do domu..."

„Tak samo, jak podczas oblężenia Warszawy biegał pod bombami — wspomina Hanna Mortkowicz-Olczakowa[1]) — zdobywając dla swoich sierot kaszę i mąkę, biegał nieustannie i dalej, lawirując wśród pułapek i wyboi okupacyjnego życia, lekceważąc godziny policyjne i rozporządzenia władz, rozbrajając ludzką podłość i wyzwalając szlachetność". „W coraz potworniejszych warunkach życia, z pętlą skazańca, zaciskającą się coraz ciaśniej wokoło szyi, Janusz Korczak żył w ghetcie jak zawsze: kwestował i karmił głodnych, pisał i opowiadał dzieciom bajki, obdarzał cukierkami i uśmiechami, brawurował, żartował, kochał".

Aż nadszedł pamiętny, krwawy sierpień 1942 roku, w którym siepacze niemieccy urządzili „benefis dzieci żydowskich". Cytujemy za Podkowińskim[2]):

---

[1]) „Odrodzenie" Nr 35. [2]) Z felietonu, nadanego przez Rozgłośnię Łódzką Polskiego Radia.

„... Rozdzierający krzyk tropionego dziecka zapełnił wymarłe ulice, cuchnące trupami i końskim gnojem. Siepacze krążyli po ulicach i dziedzińcach, po norach i piwnicach, zaglądali do ruin, zwalisk i szczelin, penetrowali strychy i klozety, wywlekali niemowlęta wprost z wózkami na ulice. Dziesiątki małych wózków, z których dochodziło kwilenie noworodków, prowadziła milicja czwórkami wprost na peron. A niemcy stali po bramach i pilnowali matek, które wyrywając sobie włosy i krzycząc nieludzkim głosem, lamentowały nad okrucieństwem losu i nad swym nieszczęściem. Tegoż dnia niemcy rozwiązali sierocińce i schroniska, jakie się jeszcze znalazły w ghetcie i cały skład łącznie z personelem wysłali do Treblinki. Podobny los spotkał i dom dla sierot Janusza Korczaka.

„Korczak, widząc, że sprawa jest przegrana, a znając okrucieństwo niemieckie, sam sprowadził swe dzieci na dziedziniec, ustawił je czwórkami i poprowadził na plac przeładunkowy. Gdy pochód ruszył, na czele szedł Korczak ze swą nieodłączną fajeczką, spokojny, pogodny. Dokoła niego zgrupowały się starsze dzieci, które nie chciały opuścić swego mistrza i nauczyciela. Za „sztabem" sierocińca szły kolumny małych dzieci, od kilkuletnich szkra-

bów do podrastających urwisów i podlotków. Dzieci trzymały się mocno za ręce, śpiewały swe ulubione piosenki, jakby wybierały się na piknik, a nie w ostatnią wędrówkę po ziemi. Spokój nauczyciela udzielił się i tym malcom, jakby nic właściwie specjalnego nie zaszło.

„Gdy wreszcie pochód osiągnął dworzec kolejowy i z rampy podjechały wagony, Korczak sam ładował dzieci, delikatnie podsadzał do zbyt wysokich schodów, sypał żartami, rozdawał wodę i chleb, nie pozwalając nikomu się przybliżać. Nawet oprawcy niemieccy byli skonsternowani spokojem tego bohatera. Wreszcie wszyscy byli już w wagonach. Został sam Korczak. Jeden z oficerów niemieckich podszedł do niego, proponując mu, aby udał się do domu, gdyż zwalnia go. Korczak spojrzał na niego takim wzrokiem, jakby cały swój skrywany ból, całą nienawiść zbolałego ojca chciał rzucić w twarz zbira. Było to spojrzenie człowieka, który przemawiał już z innego świata i dla którego sprawy ziemskiego padołu były resztkami ginącej, złej, ohydnej rzeczywistości.

„Precz mi z oczu, psie niemiecki! — zawołał — patrz, jak dumnie idą na śmierć małe dzieci żydowskie... A ja miałbym je teraz opuścić? Nigdy!

„I żwawym krokiem skoczył do wagonu. Niemiec trzasnął pejczem w powietrze. Korczak uniknął uderzenia i uszedł w gromadkę dzieci, stłoczoną wewnątrz wagonu. Milicjanci zasunęli powoli drzwi, a gruby jak kloc niemiec plombował wagon. Lokomotywa ze świstem potoczyła się w dół Wisły, unosząc pasterza i jego owieczki. Na placu przeładunkowym zaległa śmiertelna cisza i tylko małe trupki pomordowanych zbiegów demonstrowały światu nową erę zbrodni...”

Tak umarł dobry „Stary Doktór”. Tak ofiarnie, dzielnie, poprostu, bez emfazy, bez deklamacji, bez próżnego gestu, jak żył, mówił, działał i pracował.

Wiedział, że żyć warto — ale nie za każdą cenę. Wcześnie pokonał w sobie lęk śmierci. Odważnie przemyślał jej tajemnice i z przemyślności tych wysnuł wskazania na całą drogę swego życia, jakby podporządkowując je męskim wskazaniom Epikteta:

„niechaj śmierć, wygnanie oraz to wszystko, co najwięcej przeraża człowieka, stoi nieprzerwanie przed moimi oczyma. Ale przede wszystkim śmierć. Wówczas nie będę miał żadnej myśli niskiej i niegodnej.”

Nie lękał się śmierci. Ale i nie pogardzał nią. Poprostu — przezwyciężył ją w sobie,

pokonał i zaprzągł do pracowitego pługa, którym orał codzienną glebę życia.

„Nie chcę myśleć o śmierci Janusza Korczaka — wyznaje jego długoletnia i wierna przyjaciółka, Hanna Mortkowicz-Olczakowa w już cytowanym na tym miejscu „Wspomnieniu". — Pocieszam się chwilami, że pośmiertna sława jest jednak zadośćuczynieniem i koronuje w pewnym sensie głęboką — w istocie swej najbardziej chrześcijańską wiarę w nieśmiertelność[1]) i nieśmiałe pragnienie literackiego rozgłosu i uznania, żyjące w duszy tego cudownego człowieka. Ale czasami nawiedza mnie potworna, prawie realna wizja tego rozśpiewanego pochodu na śmierć, widzę zielony sztandar Domu Sierot, spłoszoną gromadkę dzieci odświętnie ubranych, narkotyzowanych do ostatka pieszczotą... I widzę „Pana Doktora" ugiętego cierpieniem i prostującego się dumnie ostatnim wysiłkiem bohaterskiej woli — w swym — zniszczonym mundurze pułkownika Wojsk Polskich. Nie mogę sobie tylko wyobrazić jego oczu, oczu uśmiechniętych i łzawych pod szkłami binokli. Bo co za piekło rozpaczy musiało być w tych oczach ojca... gdy prowadził sam na męczeńską śmierć wszystkie swoje dzieci."

[1]) Podkreślenie nasze.

Janusz Korczak szedł prosto na przedzie
Z gołą głową, z oczami bez lęku,
Za kieszeń trzymało go dziecko,
Dwoje małych trzymał na ręku.

Ktoś doleciał, papier miał w dłoni,
Coś tłumaczył i wrzeszczał nerwowo:
— Pan może wrócić... jest kartka od Branda —
Korczak niemo potrząsnął głową.

Nawet wiele im nie tłumaczył,
Tym, co przyszli z łaską niemiecką:
Jakże włożyć w te głowy bezduszne,
Co znaczy, samo zostawić dziecko....

Tyle lat... W tej wędrówce upartej,
By w dłoń dziecka kulę dać słońca,
Jakże teraz zostawić strwożone,
Pójdzie z nimi dalej... do końca...*)

*) Z wiersza Władysława Szlengela, który zginął w ghetcie warszawskim—p. „Odrodzenie" Nr 35.

Zanim Janusz Korczak jako „Stary Doktór” zaczął wygłaszać swe rewelacyjne „gadaninki” przed mikrofonem Polskiego Radia, był znany tylko stosunkowo nielicznym sferom czytelniczym. Czytali go i zachwycali się nim tacy mocarze ducha i artyści słowa, jak Żeromski, podziwiali go literaccy smakosze — i to wszystko. W okresie, w którym nakłady najsłynniejszych pisarzy zrzadka i z trudem przekraczały tysiąc egzemplarzy, nie mógł Korczak liczyć na większą popularność swoich dziwnych książek. Matek, które chciały je czytać, nie stać było na ich kupno. Zaś matki „uprzywilejowane” nie miały poprostu czasu na taką lekturę, uważając ją zresztą za zbyteczną, gdyż zazwyczaj oddawały swe dzieci w „fachowe” ręce zawodowych pielęgniarek, guwernantek i modnych, dobrze reklamujących się pediatrów. A Korczak nie umiał i nie chciał reklamować nietylko siebie, jako autora, ale nawet swoich idei. Słabo więc rozeszły się po Polsce jego książczyny i, niemal przez wszystkich zapomniane, za-

cichły pod warstwami kurzu po kątach rzadko otwieranych szaf bibliotecznych. A wandalizm hitlerowski, skazujący na stos dzieła autorów nie-aryjskich, i pożary wojenne dokonały reszty.

Nieliczne „białe kruki" drukowanej spuścizny literackiej Janusza Korczaka czekają na swoich powojennych wydawców[1]) A wśród nich jego książka bodaj najkapitalniejsza, na którą pragnę zwrócić szczególną uwagę, bo w niej zawarł Korczak jakby syntezę swej metody wychowawczej i pisarskiej i najpełniej wypowiada się w niej jako psycholog, lekarz i artysta. Mam na myśli dziełko p.t. „Jak kochać dzieci („Dom sierot", a zwłaszcza część drugą: „Dziecko w rodzinie")

Już na pierwszej stronnicy tej cudownej książki odkrywa przed nami autor swą indywidualność. Jakże daleką od schematów nadętej uczoności i nudnego, powszedniego bakałarstwa!

Pisze:

„Chcę nauczyć rozumieć i kochać cudowne, pełne życia i olśniewających niespodzianek, twórcze „nie wiem" współczesnej wiedzy odnośnie do dziecka.

---

[1]) Niedawno wyszły nakładem J. Mortkowicza powojenne wydania kilku książek dla dzieci Janusza Korczaka. Został również zapowiedziany druk szczęśliwie odnalezionych „Pamiętników" tegoż autora.

„Chcę, by zrozumiano, że żadna książka, żaden lekarz, nie zastąpią własnej czujnej myśli, własnego uważnego spostrzeżenia.

„Kazać komuś dać gotowe myśli, to polecić obcej kobiecie, aby urodziła własne twe dziecko. Są myśli, które w bólu samemu rodzić trzeba, i te są najcenniejsze. One decydują, czy podasz, matko, pierś, czy wymię, czy wychowywać je będziesz, jak człowiek, czy jak samica, czy kierować nim będziesz, czy wlec na rzemieniu przymusu, czy tylko, póki małe, bawić się nim będziesz, znajdując w pieszczocie z nim dopełnienie skąpych lub niemiłych pieszczot małżonka; a później, gdy nieco podrośnie, puścisz je samopas, lub zwalczać zapragniesz.

Uznaje w pełni majestat macierzyństwa i prawa matki. Ale jednocześnie z łagodną stanowczością stawia jej przed oczy twarde, surowe prawo życia:

„Powiadasz: „Moje dziecko". Kiedy, jeśli nie w okresie ciąży, masz do tego największe prawo? Bicie małego jak pestka brzoskwini serca jest echem twego tętna. Twój oddech daje i jemu tlen powietrza. Wspólna krew przebiega w nim i w tobie, a żadna czerwona krwi

kropla nie wie jeszcze, czy pozostanie twoją lub jego, czy wylana będzie i umrze, jako danina, którą pobiera tajemnica poczęcia i porodu. Kęs chleba, który żujesz, to dla niego materiał do budowy nóg, na których biegać będzie, skóry, która je będzie okrywać, oczu którymi patrzeć będzie, mózgu, w którym myśl zapłonie, rąk, które do ciebie wyciągnie, uśmiechu, z którym zawoła: „mamo".

A jednak:

„Nie, nawet w ciągu miesięcy ciąży, ani w godzinach porodu, dziecko nie jest twoje."

Nie odbiera brutalnie dziecka matce, ale poprzez bezmiar kosmiczny przenosi je na ziemię:

„Dziecko, które urodziłaś, waży 10 funtów. Jest to ośm funtów wody i garść węgla, wapna, azotu, fosforu, potasu, żelaza. Urodziłaś ośm funtów wody i dwa popiołu. A każda kropla tego t w o j e g o dziecka była parą chmury, kryształem śniegu, mgłą, rosą, zdrojem, mętem kanału miejskiego. Każdy atom węgla czy azotu wiązał się i rozwiązywał w miliony różnych połączeń. Tyś tylko zebrała to wszystko co było.

„Ziemia, zawieszona w nieskończoności. Blizki towarzysz, słońce, 50 milionow mil. Średnica drobnej ziemi naszej, to tylko 3.000 mil ognia z cienką na 10 mil skorupą ostygłą. Na cienkiej skorupie, wypełnionej ogniem, wśród oceanów, rozrzucona garść lądu. Na lądzie, wśród drzew i krzewów, owadów, ptactwa, zwierząt, mrowią się ludzie.

„Wśród milionów ludzi urodziłaś jeszcze jedno — co? źdźbło, pyłek — nic. Takie to kruche, że je zabić może bakteria, która 1.000 razy powiększona, jest dopiero punktem w polu widzenia.

„Ale to n i c jest bratem z krwi i kości fali morskiej, wichru, błyskawicy, słońca, drogi mlecznej. Ten pyłek jest bratem kłosu, trawy, dębu, palmy, pisklęcia, lwiątka, źrebaka, szczenięcia. Jest w nim, co czuje, bada, cierpi, pragnie, raduje się, kocha, ufa, nienawidzi, wierzy, wątpi, przygarnia i odtrąca. Ten pyłek ogarnia myślą wszystko: gwiazdy i oceany, góry i przepaście. A czym jest treść duszy, jeśli nie wszechświatem, jeno bez wymiarów? Oto sprzeczność w istocie człowieczej, powstałej z prochu, w której Bóg zamieszkał.

„Za lat 15 — ono wpatrzone w przyszłość, ty — w przeszłość. W tobie

wspomnienia i nawyki, w nim zmienność i harda nadzieja. Ty wątpisz, ono oczekuje i ufa, ty się lękasz, ono bez trwogi".

Dla Korczaka każde dziecko, nawet malutkie niemowlę, uosabia pewną ściśle określoną indywidualność. Trzeba tylko umieć tak na nie patrzeć, jak on się patrzył:

„Sto niemowląt. Nachylam się nad łóżkiem każdego z nich. Są, które liczą życie na tygodnie i miesiące, o różnej wadze i różnej przeszłości swej „krzywej", chore, ozdrowieńcy, zdrowe, i ledwo utrzymujące się jeszcze na powierzchni życia.

„Spotykam różne spojrzenia, od przygasłych, mgłą zasnutych, bez wyrazu, poprzez uparte i boleśnie skupione, do żywych, serdecznych, zaczepnych. I uśmiech powitalny, nagły, przyjazny, lub uśmiech po chwili bacznej obserwacji, lub uśmiech dopiero jako odpowiedź na uśmiech i pieszczotliwe słowo — pobudkę. Co mi się zrazu zdaje przypadkiem, powtarza się w ciągu wielu dni. Notuję, wyodrębniam ufne i nieufne, równe i kapryśne, pogodne i chmurne, niepewne, zalęknione i wrogie. Oglądam gardła. Protest żywy, burzliwy, namiętny. Albo tylko niechętne skrzywienie, niecierpliwy ruch głowy,

i już uśmiech życzliwy. Albo podejrzliwa czujność na każdy ruch obcej ręki, wybuch gniewu, zanim jeszcze doznało...”

Korczak zbliża się do dziecka nie tylko jako inteligentny i bystry obserwator, lecz jednocześnie jako poeta. Bo ileż poezji mieści się w tych pastelowych filmach:

„...Noworodek patrzy na lampę. Nie patrzy: gałki oczne rozchodzą się i schodzą. Później, wodząc wzrokiem za przedmiotem, poruszanym powoli, fiksuje go i gubi co moment. Kontury cieni, zarys pierwszych linii, a wszystko bez perspektywy. Matka w odległości metra jest już innym cieniem, niż pochylona blizko. Profil twarzy, jak sierp księżyca, tylko podbródek i usta, gdy patrzy zdołu, leżąc na kolanach, taż sama twarz z oczami, jeszcze inaczej, z włosami, gdy bardziej się pochyli. A słuch i węch mówią, że to to samo.

„Pierś, jasna chmura, zapach, ciepło, dobro. Niemowlę puszcza pierś i patrzy, bada wzrokiem to dziwne coś, które ukazuje się stale nad piersią, skąd płyną dźwięki i powiewa ciepły strumień oddechu. Niemowlę nie wie, że pierś, twarz, ręce, stanowią jedną całość — matkę.

„Ktoś obcy wyciąga ręce. Zwiedzione znajomym ruchem, obrazem, chętnie w nie przechodzi. Teraz dopiero spostrzega błąd. Tym razem ręce oddalają je od znajomego cienia, zbliżają się do czegoś obcego, wzbudzającego obawę. Ruchem nagłym zwraca się ku matce, i znów bezpieczne, patrzy i dziwi się lub chowa za ramię matczyne, aby uniknąć niebezpieczeństwa.

„Wreszcie twarz matki przestaje być cieniem, zbadana rękami. Niemowlę wielekroć chwytało za nos, dotykało oka dziwnego, które naprzemian błyska, to znów matowe pod przykryciem powieki, badało włosy. A kto nie widział, jak odchyla wargi, ogląda zęby, zagląda do ust, skupione, poważne, z marsem na czole. Tylko, że mu przeszkadza czcza gadanina, pocałunki, żarty — to, co nazywamy „bawieniem" dziecka. My się bawimy, ono studiuje. Ono już ma pewniki, przypuszczenia i zagadnienia w toku badań".

I jeszcze jeden obrazek:

„Niemowlę bada swe ręce. Prostuje, wodzi w prawo i w lewo, oddala, zbliża rozstawia palce, zaciska w pięść, mówi do nich i czeka na odpowiedź, prawą chwyta lewą rękę i ciągnie, bierze grzechotkę i patrzy na dziwnie zmienny obraz ręki, przekłada ją z jednej do dru-

giej, bada ustami, natychmiast wyjmuje, i znów patrzy powoli, uważnie. Rzuca grzechotkę, pociąga za guziki kołdry, bada powód doznanego oporu. Ono nie bawi się, miejcież do licha oczy i dostrzeżcie w nim wysiłek woli, by zrozumieć! To uczony w laboratorium, wmyślony w zagadnienie najwyższej wagi, a które wyślizguje się jego rozumieniu."

Zachwycają Korczaka wszelkie objawy ambitnej samodzielności dziecka:

„Czy zwróciliście uwagę, jak często, gdy rozlega się dzwonek, słyszycie prośbę:

„— Ja otworzę!

„Po pierwsze, zatrzask drzwi wejściowych jest trudny, po drugie: poczucie, że tam za drzwiami, stoi dorosły, który sam rady sobie dać nie może i czeka, aż on — mały mu pomoże.

„Takie maleńkie triumfy święci dziecko, które już śni o dalekich podróżach, które w marzeniu jest Robinzonem na bezludnej wyspie, a w rzeczywistości szczęśliwe, gdy mu pozwolą wyglądać przez okno.

„Czy umiesz sam wejść na krzesło? Czy umiesz skakać na jednej nodze? Czy możesz lewą ręką złapać piłkę?

„I dziecko zapomina, że mnie nie zna, że będę gardło oglądał, że mu zapiszę lekarstwo. Poruszam to, co góruje nad uczuciami zażenowania, strachu, niechęci, więc odpowiada radośnie:

„— Umiem.”

Dużo, całe stronice, rozdziały chciałoby się cytować z tej fascynującej książki, od której trudno się oderwać. Ale czy nie lepiej poprostu — przedrukować ją w całości? Jest niewielka rozmiarami, wszystkiego 145 stronic druku, a tyle w niej bezcennego, odkrywczego materiału!

Nie jest ona ani kodeksem, ani zbiorem recept. Jest dobrym, rozumnym, spostrzegawczym, czujnym i dyskretnym doradcą matki, z którą razem nad dzieckiem się pochyli, na to zwróci uwagę, tamto wytłumaczy i pomoże jej — samej! — rozwiązać nie jedno pozornie drobne, a w istocie często zasadnicze zagadnienie.

Bo Korczak niczego nie narzuca, a jeżeli uczy, to tylko: patrzeć i wysnuwać wnioski. Podobnie, jak jest zwolennikiem możliwie najszerszej samodzielności dziecka, żąda tej samodzielności od jego rodziców.

Należy się „Staremu Doktorowi” nowe wydanie tej książki. Lecz jeszcze więcej należy się ono matkom, które na tę książkę oddawna czekają.

I warto by również pomyśleć o jej przekładzie na obce języki, oraz o nadaniu jej w formie specjalnego cyklu audycji radiowych, najlepiej w ramach codziennych „audycji robotniczych” w przedwieczornych odcinkach programowych.

Jak już wspomniałem, szeroka popularność Janusza Korczaka rozpoczęła się w Polsce od chwili, w której jako „Stary Doktór" przemówił do paru milionów polskich radiosłuchaczy. Śmiało można powiedzieć, że zdobył ich sobie szturmem. Już po kilku pierwszych audycjach z zapartym oddechem słuchała go dosłownie cała Polska. Chociaż to co mówił, a zwłaszcza jak mówił, zrywało ze wszystkimi ustalonymi pojęciami o stylu i sposobie przemawiania przed mikrofonem.

„Komuś nieuważnemu, niecierpliwemu — pisał o tym Jan Ulatowski — który pierwszy raz złapał falę warszawską ze „Starym Doktorem", zdarzyło się po kilku zdaniach dopaść telefonu i zaalarmować rozgłośnię, że prelegent jest... pijany. Tak bardzo odbiega styl „Starego Doktora" od tego, do czegośmy w radio przywykli. „Stary Doktór" nie deklamuje i nie śpieszy się. „Stary Doktór" nie pokrywa frazeologią ani swoich intencji, ani pustki wewnętrznej.

„Stary Doktór” nie sili się na dowcip: musi przyjść sam. „Stary Doktór” mówi do dzieci, a niema w sobie nic z guwernantki. Dzieciom, o których mówi, nie daje imion. Brak mu drażniących arierpansów sadystycznych, jakie zdarzają się subtelniejszemu uchu wyłowić nawet w najsłodszych głosikach pań z audycji dziecięcych. Niema też czułostkowości, a co najważniejsze, dziecko nie bawi go! Dziecko jest dla „Starego Doktora” kandydatem na dorosłego człowieka, a więc kimś, z kim już dziś można przestawać na zasadach obowiązujących w życiu, które jest wielką grą o honor i niczym więcej. „Stary Doktór” ma wspaniały i mądry krytycyzm i kontroluje nietylko bliźnich, ale i samego siebie, nie ufa sobie bardziej, niż innym. A wreszcie „Stary Doktór” wie, że łączyć może człowieka ze światem tylko miłość. Więc nie odważa się na żaden sąd, póki nie jest pewny, że jego serce rozprawiło się z przedmiotem, o którym chce mówić. „Stary Doktór” jest największym na polskich falach humanitarystą i intelektualistą. Każda audycja „Starego Doktora” pozostawia w duszach słuchaczy pogodę i uroczysty spokój tej chwili po zachodzie słońca, gdy sobie uprzytomnimy, że jutro też będzie dzień. A wreszcie styl „Starego Doktora”: obrazowy, mimo, że pozbawiony zupełnie sugestywnych słów, odsłaniający rzeczy skomplikowane, a nie-

słychanie prosty, prawie ubogi, daleki od retoryki. Słowa „Starego Doktora” niosą rzecz, podnoszą ją, odsłaniają, obnażają, ale co to musi być za rzecz, której nie potrzeba słowami przystrajać, okrywać, osłaniać!”

Niech mi wolno będzie też przytoczyć moją własną opinię, wypowiedzianą na łamach „Anteny” po kilku pierwszych audycjach „Starego Doktora”:

„Wychodzą z głośnika jego słowa, przedzielone krótkimi przerwami, jakby mówiący przed każdym z nich się namyślał, zastanawiał, jakbby pilnie przebierał w gąszczu tysięcy słów, wyłuskując z niego najtrafniejsze, a zarazem najprostsze. Jedno po drugim stają te słowa przed tobą, a zrazu każde wydaje ci się odbite od innych, wyłączne, samotne. Aż nagle, gdy zbiorą się w trójkę, czwórkę lub piątkę (rzadko kiedy w większej liczbie), patrzysz zdumiony: oto jedno drugie podpiera, jedno drugie wyjaśnia albo uzupełnia — a wszystkie razem tworzą zwartą myśl, pulsują uczuciem, płoną prawdą wewnętrzną i najgłębszym, nieomylnym przekonaniem. Po słowie nieśmiałym, jak krok niewidomego, nadąża słowo bardziej odważne, a po nim już zupełnie zdecydowane — może dla tego dopiero teraz wymówione, chociaż mówiącemu od po-

cząlku znane, że raptownie ciśnięte mogłoby urazić, a może nawet przestraszyć.

„Słowa dobre, życzliwe, przychylne, ojcowskie — słowa bystre, trafne, głęboko we własnej samotności przemyślane — słowa wskazujące, otwierające, przypominające, nawołujące — słowa, które pomagają rozplątać chaos wewnętrzny, które są jak płomyk latarni w ciemności. Słowa ostrzegawcze, naglące, napominające, ale nigdy nie karcące, nigdy nie potępiające, nigdy ostre i zbyteczne. Zawsze przedziwnie ludzkie, przekonywujące. Niczego nam, mądrą sokratesową metodą, przemawiający nie narzuca. Tylko dopomaga, abyśmy sami z własnych piersi wyjęli czysty kryształ zrozumienia.

„Stanął przy nas skromny, cichy, zatroskany, zakłopotany. Patrzy w nas pełen dyskretnej miłości, dostrzega nasz ból, nędzę, niepewność, rozterkę. Wszystko już widzi, wszystko rozumie — ale jeszcze bada, nieśmiało wypytuje, duszę i serce delikatnie opukuje. A potym podsuwa diagnozę.

„Gdzieś na uboczu, w cieniu, na rogu stolika, coś kreśli, zamyślony — i, zanim się spostrzegłeś, już się wymknął, już go niema. Odszedł stary, dobry doktór — zostawił jednak mądrą receptę, przyciśniętą do stołu ciężarkiem srebrnego pieniążka,

bo spostrzegł przecież odrazu, że jesteś większy, niż on sam, biedakiem.

„Kiedyż przyjdzie do nas znowu?...

Od dnia, w którym „Stary Doktór” zaczął rozmawiać z radiosłuchaczami, zaprowadziłem w swym domu specjalny regulamin. Już na kilka minut przed jego audycją drzwi wejściowe przestawały istnieć. Jeżeli odzywał się w przedpokoju telefon, odpowiadano, że wyszedłem, i że wrócę za pół godziny. Nawet w pokoju, przyległym do mego gabinetu, domownicy stąpali na palcach i porozumiewali się szeptem...

Nie byłem zresztą wyjątkiem. Z każdym dniem rosła liczba wiernych przyjaciół radiowych „Starego Doktora”, dla których słuchanie jego audycji stało się czymś tak nieodzownym, jak oddychanie. I w tym było jego podwójne zwycięstwo, że mówił do dzieci, a słuchali go przede wszystkim dorośli, jakby poddając się jego ojcowskiemu autorytetowi.

„Kto kocha, pragnie widzieć chociaż cień postaci...” I oto dnia pewnego pod jakimś pretekstem zwabiłem „Starego Doktora” do redakcji „Anteny”.

Kiedy wszedł do pokoju, od pierwszego spojrzenia odnalazłem w nim wszystkie rysy portretu imaginacyjnego, jaki powstał

w mej wyobraźni podczas słuchania jego pogadanek. Tak, właśnie takim go sobie wyobrażałem. Taka sama prostota w stroju, jak i w stylu — skromność gestu i całego zachowania się — i żarliwość mowy i spojrzenia.

„Stary"? Hm. Tegobym nie powiedział. Zwłaszcza gdyby zgolił tę „przedwojenną" bródkę w klin. I włosy miał tylko lekko, leciutko przyprószone siwizną. Parę srebrnych nitek i już. A jednak nie wiedziałem, jak to się działo, że chociaż czupryna moja była wówczas także „poivre et sel", kiedy patrzyłem w duże, głębokie, rozumne oczy „Starego Doktora", doznawałem przedziwnie wzruszającego wrażenia, że patrzę w oczy mego Ojca.

Bo istotnie coś ojcowskiego było w słowach i tonie głosu „Starego Doktora", bez względu na to z kim rozmawiał. Coś z ojcowskiej troskliwości i nawet ojcowskiego niepokoju. Kiedy mówił do dzieci, mówił do nich trochę, jakby do dorosłych, i nigdy nie ośmielał się lekceważyć ich drobnych (a może właśnie bardzo wielkich i bardzo ważnych?) trosk i kłopotów. A kiedy rozmawiał z dorosłymi, mówił do nich trochę, jakby do dzieci.

Po kilku minutach patrzyłem na niego z radosnym zdumieniem. Oto siedział przedemną człowiek, któremu zupełnie obca

była wszelka blaga, wszelki tupet i efekciarstwo, który wierzył w to wszystko co mówił i co czynił, i który nie wpatrywał się z nabożeństwem w swoje ideały, zawieszone gdzieś tam, pod obłokami, ale ściągał je na ziemię, by dać im ręce i nogi. Człowiek, który nie tylko miał ideały, ale brał je na serio.

Rozmawialiśmy o radiu, o jego wielkich zadaniach społecznych, o jego drogach. Wszystko to było mu już znane, zauważone, odczute, przemyślane i bliskie. Propozycję współpracy z „Anteną" przyjął życzliwie i spokojnie. Ani jednym słowem, ani nawet najbardziej dyskretną przymówką nie zająknął się o warunkach materialnych, chociaż z pewnością daleki był od nawet skromnego dobrobytu. Interesowała go wyłącznie sama rzecz, jej oddźwięk i wynik społeczny i kulturalny. I nie powiedział odrazu „tak", ale obiecał sprawę przemyśleć i dać po tygodniu odpowiedź. Posiadał więc głęboko zakorzenione poczucie odpowiedzialności, które jest jedną z zasadniczych cech człowieka w pełni „radioaktywnego", jakiego w nim wyczułem już od jego pierwszych audycji.

Kiedy po upływie paru tygodni objawiłem chęć odwiedzenia go w jego „tusculum", celem przeprowadzenia wywiadu dla „Anteny", nastroszył się zrazu dość nieufnie. Że

niby poco, dlaczego, że to przecież dla nikogo nie ciekawe. Z trudem dał się ubłagać — i oto pewnego dnia znalazłem się w niewielkim pokoiku przy ul. Złotej, który zajmował jako sublokator.

Skromny to był, a nawet, prawdę powiedzawszy, zupełnie ubogi pokoik. Jakaś wysłużona szafa, proste żelazne łóżko pod ścianą, nakryty arkuszami szarego papieru stolik, parę starych „wiedeńskich" krzesełek, ściany nagie, bez obrazów, upstrzone szablonowymi desenikami. Pokoik ten przypominał typową „stancję" uczniowską z przed lat kilkudziesięciu. W żadnym zaś wypadku nie mógł być „siedzibą", w której mieszka się i żyje, ale już raczej „kątem" przejściowym, miejscem czasowych, krótkich spoczynków człowieka o życiu rozstrzelonym nazewnątrz tego pokoju — lub może właśnie tak doskonale skoncentrowanym wewnętrznie, że nie mieściły się w nim już zainteresowania tego rodzaju, jak wygoda i estetyka życia zewnętrznego. Pokój abnegata? O, nie, z pewnością. Więc anachorety? Także nie. A może poprostu — pokój starego kawalera?

Bo jakże inaczej wyglądałby ten pokój, gdyby zajmowała się nim zręczna, miękka, skrzętna i przemyślna dłoń kobieca! Za jej sprawą te stare graty nabrałyby młodzieńczego poloru, melancholijna ściana roze-

śmiałaby się barwną plamą pogodnego obrazka, na stoliku stanąłby wazonik, albo ludowy, pięknie polewany dzbanek z kwiatami, tu i ówdzie zawadzałyby więcej niż zbyteczne serwetki, o których usunięcie mąż toczyłby całe wojny, z góry skazane na przegraną. Przez drzwi dobiegałyby ożywione głosy dorastających synów i córek, toczących namiętne spory na jakieś bardzo zasadnicze tematy. I kto wie? — może nawet rozlegałby się tutaj szczebiot ślicznego, różowego maleństwa, ćwiczącego się w pierwszych chwytach niewprawnych rączek na tatusiowej bródce w klin?

W jednej z naszych pierwszych rozmów, na moje niedyskretne pytanie, jak to się stało, że tak bardzo kochając i rozumiejąc dzieci, nie pomyślał o założeniu własnego ogniska rodzinnego, Korczak odpowiedział:

— A skąd pan wie, że o tym nie myślałem? Ale wówczas Polska była pod butem carskiego zaborcy. A ja nie chciałem płodzić niewolników...

W odpowiedzi tej był cały Korczak. Człowiek przedziwnie konsekwentny, który swoim przekonaniom nadawał kształt i moc postanowień. Mówił „tak", albo „nie" i nie wchodził z życiem w kompromisy...

Moloch mikrofonowy oraz redagowanie „Anteny" wypełniały mi wówczas życie

i niewiele pozostawiały czasu na dorywcze simposiony ze „Starym Doktorem”. Nie ośmielam się kłaść w zastygłe i bezbronne dzisiaj usta mego ówczesnego rozmówcy wypowiedzi, które teraz, po tylu latach i tylu przeżyciach, zarysowują się w mej niewdzięcznej pamięci już tylko jak cienie wyblakłych, starych fotografii. Dlatego też przytoczę tutaj tylko fragmenty mej rozmowy z Januszem Korczakiem na tematy radiowe, gdyż rozmowa ta została swego czasu zafiksowana w formie wywiadu w „Antenie”.

— W pogadankach pańskich, panie doktorze — tak zagaiłem rozmowę — uderza wszystkich rzadka i tak bardzo cenna bezpośredniość podejścia do słuchacza. Czy go pan widzi, przemawiając do niego?

W odpowiedzi — niespodzianka:

— Nie, nie widzę go. Nawet staram się go nie widzieć, kiedy mówię przed mikrofonem. Przecież zapomniałbym na pewno języka w gębie, gdybym nagle ujrzał te olbrzymie, milionowe tłumy słuchaczy przed sobą. Więc mówię tylko sam do siebie. Albo czasami myślę o jednej osobie, lub o jednym liście, który otrzymałem od określonego słuchacza.

— Ba, milionowe tłumy słuchaczy! Jest w tym pewne nieporozumienie, panie dok-

torze. Prawda, że może nas słuchać jednocześnie milion, lub nawet kilka milionów słuchaczy, ale nie słuchają nas przecież w zwartym tłumie. Stojąc przed mikrofonem mamy przed sobą milion pojedynczych, indywidualnych słuchaczy. A to przecież wielka różnica.

„Stary Doktór" kręci trochę powątpiewająco głową. —

— Każdy prelegent ma odrębne podejście do tych spraw. Mnie osobiście przeszkadza świadomość, że ktoś mnie słucha, czy podsłuchuje. I właśnie ten mały i pusty pokoik studia odczytowego, na którego bezbarwność i bezosobowość uskarżają się inni prelegenci, mnie w zupełności odpowiada. Niczego mnie nie narzuca i niczym nie grozi.

— Ale wówczas, kiedy pan przygoto wuje się do swej pogadanki?

— O, wtedy, naturalnie, myślę o radiosłuchaczach. I staram się jak najbardziej rozszerzyć zasięg mej pracy. Niejedną audycję przerabiałem po kilka razy aby ją możliwie najwięcej skondensować, aby nie było w niej „gadania". Często długo szukam jednego najodpowiedniejszego wyrazu, który mógłby zastąpić parę minut „gadaniny". Każdy słuchacz ma swoich prelegentów. Uczuciowym wystarczy jeden wyraz, aby już sami poszli dalej i dosnuli sobie resztę. Bardzo wielkie znaczenie mają

nie tylko same słowa, ale również i ton, w jakim są wypowiedziane. Słuchacz rządzi się instynktem, podobnie, jak możemy to zaobserwować w świecie zwierzęcym, albo u małych dzieci. Proszę np. powiedzieć psu miłym, ciepłym tonem: „Podły pies, zły pies, gniewam się na psa,” a pies na pewno ucieszy się i zacznie się łasić. Natomiast, gdy usłyszy: „Kochany pies, dobry pies, grzeczny pies”, wypowiedziane tonem gniewnym i opryskliwym, skuli ogon pod siebie. To samo z niemowlętami. Można je usypiać albo doprowadzać do płaczu jedną i tą samą piosenką, zależnie od głosu i modulacji.

— Czego, pańskim zdaniem, powinno radio dawać najwięcej swoim słuchaczom?

— Skala słuchaczy jest olbrzymia. Wszystkie więc rodzaje audycji są potrzebne. I, naturalnie, rozmaici prelegenci. Mnie osobiście najwięcej interesują sprawy wychowawcze. A przyszłość radia? Olśniewająca. Głęboko wierzę, że uda się nam kiedyś dotrzeć bezpośrednio do przeszłości i wyławiać z niej najwspanialsze wydarzenia. Radio uczyniło dla nas niemal dotykalnie zrozumiałym, że nic nie ginie, że wszystko trwa i wszystko jest nieśmiertelne. Tak samo nie mogą ginąć nawet myśli nasze, wszystkie myśli, a tym bardziej szczytowe. Czytałem o tym kiedyś w „Antenie” i nawet

wyciąłem sobie ten artykuł. Jestem głęboko przekonany, że znajdujemy się u progu bardzo ciekawego okresu, który zapoczątkowuje między innymi radio. I nie wierzę, aby mogło komuś rozbić samotność. Najwięcej, naturalnie, radio może wpływać na najmłodsze pokolenie. Nigdy jednak, ani dzieciom, ani dorosłym, nie zastąpi książki. Radio przynosi inne wartości. Często zastanawiałem się nad tym, czy takie radiowe pakowanie ludziom do głowy wiadomości z całego świata jest potrzebne. I przyszedłem do wniosku, że tak. Niech każdy człowiek dzięki radiu zdobędzie możność wyjścia po za swój mały kurnik.

Zamyśla się „Stary Doktór" i po chwili:

— To jednak jest ogromna, wprost straszliwa odpowiedzialność, to wkradanie się głosów radiowych do wszystkich domów, do intymnego życia, do duszy i serca człowieka...

* * *

Współpracę swoją z „Anteną" rozpoczął „Stary Doktór" od prowadzenia w niej działu dla „radiosłuchaczątek". Niestety, mimo mych próśb i nalegań, nie chciał zgodzić się na umieszczanie w „Antenie" tekstów owych przedziwnie pięknych i rozumnych „gadaninek" (jak je sam nazywał), ale uparł się, że w dziale tym będzie prowadził korespondencję ze swym najmłodszym audytorium.

Ponieważ jednak audytorium to — ku naszemu zdumieniu i zapewne ku rozgoryczeniu „Starego Doktora” — nadsyłało listy dość rzadko, a jeszcze o wiele rzadziej listy, zawierający interesujący materiał do odpowiedzi, skończyło się na kilkunastu numerach.

W roku 1938 udało mi się wybłagać u Korczaka pozwolenie na umieszczenie w „Antenie” przepięknego tryptyku („Samotność dziecka” — „Samotność młodości” — „Samotność starości.”) Ostatnią z tych pogadanek, w której „Stary Doktór” otworzył przed nami całą swoją arcy-ludzką duszę, przedrukowujemy w zakończeniu tych „Wspomnień”. W dopisku od redakcji uzupełniłem ją w „Antenie”. (Rok 1938, Nr. 17) następującym wezwaniem:

„Na tym kończymy trzecią pogadankę „Starego Doktora“ na temat samotności. Kiedyż usłyszymy go znowu przed mikrofonem?“

Wezwanie to było zwrócone nie tylko pod adresem prelegenta, ale również pod adresem ówczesnej naczelnej dyrekcji programowej Polskiego Radia, aby ją zachęcić do nie ulegania epistolarnym, a nawet i prasowym „sugestiom” gawiedzi oenerowskiej,

która nawet tak cudownemu Człowiekowi, jak Korczak, nie mogła przebaczyć nie aryjskiego pochodzenia.

W roku 1939 umieściłem w „Antenie” kilka innych pogadanek Janusza Korczaka, w numerze 9-ym tego pisma zapowiadając przedruk dalszych i umieszczając entrefilet treści następującej:

„Pragnąc utrwalić niecodziennej wartości literackiej i wychowawczej pogadanki radiowe Starego Doktora, Spółka Wydawnicza „RA“ przystępuje do wydania drukiem w oddzielnej książce tekstów najcelniejszych audycji tego najbardziej ulubionego przez radiosłuchaczy autora. O ukazaniu się tego wydawnictwa zostaną ogłoszone w najbliższym czasie specjalne zawiadomienia oraz będzie podany sposób nabywania tej książki.“

Niestety. Widocznie „sugestie” oenerowskie przemogły, gdyż nazajutrz po ukazaniu się cytowanego numeru „Anteny” otrzymałem z dyrekcji naczelnej Polskiego Radia formalny i stanowczy zakaz umieszczania utworów Janusza Korczaka i realizowania zapowiedzianego wydawnictwa.

Bestialstwo niemieckie i pożoga wojenna dokonały reszty. Niedrukowane rękopisy pogadanek „Starego Doktora” — bezcenne skarby jego płomiennego mózgu i mądrego serca — przepadły dla nas na zawsze.

Nie ciekawi nas akt urodzenia Janusza Korczaka. Zbyt mocno podważył znaczenie takich „aktów” chociażby przykład Wincentego Pola, tego najrdzenniejszego z ducha poety polskiego, którego kolebka stała w domu niemieckim. I przykład syna i siostrzeńca powstańców polskich, Conrada, który został słynnym pisarzem... angielskim. Liczne są — i bardziej przekonywujące — inne legitymacje polskości Korczaka. Wiemy, że polskość serdecznie, głęboko ukochał, że korzeniami najszczerszego sentymentu wrósł w kulturę polską. Że mówił, pisał, a nawet myślał po polsku. Że największe polskie umysły współczesne, z Żeromskim na czele, żywiły doń szacunek i otaczały go przyjaźnią. Że wreszcie poległ śmiercią bohaterską w mundurze polskiego oficera.

Natomiast fakt, że pokrył swoje żydowskie nazwisko pięknym polskim pseudonimem, dla nas, którzy znaliśmy go bliżej, nie zdaje się wypływać ani z niechęci do ży-

dostwa, ani z umiłowania polskości. I tutaj, jak we wszystkim, co dotyczy „Starego Doktora", nie należy doszukiwać się zbyt splątanych komplikacji, ani przecinać włosa na czworo. Poprostu, nazwisko które mu dał przypadek urodzenia, było niemieckie[1]). Kiedyś przed laty, zostało narzucone jego przodkom, jako obce, niewolnicze piętno. Odrzucił je więc, podobnie, jak później odrzucił opaskę, którą niemcy napiętnowali mieszkańców ghetta.

Czy jednak — może ktoś zapytać — nie było w nim żadnych wahań, żadnego rozdwojenia? Bo przecież, mimo całej swej niezaprzeczonej polskości kultury, w okresie najokrutniejszego prześladowania żydów, sam z własnego wolnego wyboru, mogąc szukać ratunku w ucieczce, pozostał w getcie, aby zginąć wraz z gromadką swoich „cudzych dzieci"?

Nieważne, nieistotne, zbyteczne pytanie. Ale otwiera ono przed nami tak promienne, że aż olśniewające perspektywy ducha. Bo gdyby nawet wyraz „Korczak" był nie pseudonimem, ale nazwiskiem, i gdyby „Stary Doktór" jako Polak nietylko z racji ciążenia kulturalnego, ale również jako Polak z krwi i kości, stanął podczas wojny przed zagadnieniem ghetta — to na podsta-

[1]) Henryk Goldszmidt.

wie znajomości jego życia i charakteru można przypuścić, że nawet wtedy — może jeszcze z tym większym entuzjazmem — poszedłby do ghetta po to, aby dać świadectwo swej wewnętrznej prawdzie.

Kiedy zbieramy dzisiaj w spuściźnie po nim strzępy naszych wspomnień i okruchy jego prac, nie popełnimy bluźnierstwa, zamykając jego duchową sylwetkę w tych dwuch słowach:

„Ecce Homo!"

Oto człowiek. Jeden z najpiękniejszych i najlepszych ludzi, jakich zdarzyło się nam spotkać na świecie. Człowiek promieniującego mózgu i mądrego serca. Człowiek wielki tą rzadką wielkością, która bez miecza i bez tarczy zwycięża jednym pochyleniem czoła.

Był jednym z tych cichych i pokornego serca, którzy zdobywają ziemię. Nie po to, aby ją ujarzmić, ale by ją użyźnić pod coraz obfitsze i doskonalsze plony. Był człowiekiem szczęśliwym. Bo posiadał świadomość, że większym szczęściem jest dawać, niż brać. A on wszystko, co miał najlepszego, czy z dóbr materialnych, czy duchowych, szczodrą ręką dokoła rozdawał.

Nie miał w sobie nic z czułostkowca, który z łezką w oku pochyla się nad niedolą „maluczkich" i ropiejące ich rany za-

lepia angielskim plasterkiem zdawkowego, urzędowego miłosierdzia. Był światłym rozumnym humanitarystą, który, jak ojciec lub brat, zawsze staje po stronie wydziedziczonych i pokrzywdzonych, aby podać im rękę lub podeprzeć, gdy sami będą się dźwigali z mroków swej nędzy fizycznej i duchowej.

Całe jego życie było jedną cichą, ofiarną, bezinteresowną służbą społeczną. Nie w słynnych i drogich klinikach, dostępnych tylko dla wybranych, ale w przedmiejskich żłobkach i ochronkach pochylał się nad swoimi małymi pacjentami i przyjaciółmi. Nie szukał ich w bogatych salonach, ale w zieleniejących pleśnią norach piwnicznych i na strychach, zalewanych przez strugi deszczu, dokąd nieraz trzeba było się wybierać po trzeszczącej złowróżbnie drabinie.

Ile chorych dzieci uzdrowił, ile lekarstw darmo rozdał, ile łez otarł , z iloma zgłodniałymi usteczkami własnym skąpym kęsem chleba się podzielił?... Ile biednych matek swą dyskretną, jakby wstydliwą dobrocią, swym ludzkim, nie upokarzającym słowem podniósł na duchu, ile setek kilometrów, jak skrzętna mrówka od jednej niedoli do drugiej przemierzył?... Dokładnie znamy drogę pierwszej odkrywczej wyprawy Kolumba; na mapie świata uczeni historycy wykreślili drogi zdobywczych wypraw Aleksandra

Macedońskiego, Napoleona; na odtworzonej przez astronomów kopule niebieskiej widnieją nieomylne elipsy dróg, którymi przebiegają planety. Któż jednak dostrzegł to maleńkie światełko, latarenkę robaczka świętojańskiego, jasny płomyczek ludzkiego serca, który przez długie lata samotnie błąkał się po ulicach i uliczkach Warszawy, z dobrą nowiną docierając do zapomnianych przez ludzi środowisk?... I któż od tej iskierki zapali swą pochodnię?...

Nigdy nie rzucał słów na wiatr. Każde jego słowo było afirmacją. To też, kiedy mówi „Bóg", tym samym Boga wyznaje. A słowo to dość często w jego utworach i w jego życiu się powtarza.

Może najgoręcej spaliło ono jego usta wtedy, gdy badawczym okiem psychologa, patrząc na gromadkę dzieci, analizując ich postępki, okrzyki i odruchy, segregując temperamenty i z niepozornych, nikłych szczegółów, budując mozolnie przedziwne trafne pojęcia o ich odrębnych indywidualnościach, poczuł, jak serce mu zalewa ciepła, łagodna fala prawdziwie ojcowskiej, zatroskanej serdeczności. Może wtedy właśnie — na jedną krótką chwilę — najszerzej otworzył przed nami swą piękną duszę, wołając:

„O, ja całuję te dzieci wzrokiem, myślą, pytaniem: czym jesteście, cudow-

ne tajemnice, co niesiecie? całuję wysiłkiem woli: czym mogę wam pomóc? Całuję je tak, jak astronom całuje gwiazdę, która była, jest, będzie. Ten pocałunek winien zajmować równe miejsce między ekstazą uczonego i korną modlitwą, ale nie dozna jego czaru, kto poszukując wolności, zagubił w tłoku Boga."

Był głęboko, wewnętrznie religijny, nie tą pełzającą, ale twórczą religijnością. Nie zamykał Boga w sztywnych formułkach, ale i nie mędrkował zarozumiale. Wiedział przecież, jak nikłe, jak powolne są postępy wiedzy ścisłej, o rzeczach i przedmiotach bliskich, dostępnych, namacalnych, znał słabość człowieka, zamkniętego w trójwymiarowym świecie, z którego zjawiskami obcuje wyłącznie przy pomocy swoich pięciu niedoskonałych zmysłów. Jakże więc mógłby zaprzeczać Boga?

Nie mędrkował więc zarozumiale, ale i nie zamykał Boga w sztywnych formułkach. Nie określał, raczej odczuwał. Nie ulegał bezmyślnie, ale starał się harmonizować swoje życie z przeczuwalnym pięknem i mądrością Bóstwa, któremu pozostawił atrybuty Najwyższej Sprawiedliwości, odbierając jednak narzędzia tortur.

Ten mądry lekarz, wnikliwy i samodzielny badacz, odkrywczy psycholog — wresz-

cie, jeżeli kto zechce, ten Żyd — miał duszę nawskroś chrześcijańską. Więcej: prawie chrystusową. Od Chrystusa miał tę wszechogarniającą miłość ludzkości i wszelkich przejawów życia — z Chrystusem jednoczył się w szczególnym umiłowaniu małych dzieci i wszystkich pokrzywdzonych — na Nim zdawał się wzorować skromność i prostotę swoich postępków i obyczajów.

I z pewnością dogadał się ze Zbawicielem, gdy skrwawionym czołem przed Nim uderzył, przyprowadzając do Jego stóp gromadkę okrutnie pomordowanych dzieci żydowskich.

„Non omnis moriar..." zostały po nim jego książki i przedruki kilku pogadanek radiowych. Przede wszystkim jednak zostały świetlane, krzepiące ducha wspomnienia i dostojny, chociaż skromny i cichy, przykład jego życia.

SAMOTNOŚĆ STAROŚCI

Lato. Park (zaniedbany). Rzeka. Bliski, młody las sosen: drugi las daleki, w którym „straszy”. (tak) Ktoś tam kogoś kochał, ktoś kogoś — powiadają — zabił — i tam właśnie ta bardzo stara lipa, którą trzeba koniecznie zobaczyć. 300 lat, 500 — najmłodsi obliczyli, że ma 2.000 lat. My pana zaprowadzimy!

Hi, — jeśli oni muszą pokazać, a ja muszę zobaczyć, — bo 1.000 lat — i straszy — i nie tak znów daleko — i nie będę żałował (szczerze chcą uraczyć) — więc dobrze. Idziemy. Gorąco (lato, południe) — „O widzi pan, tam, już blisko — już zaraz — ooo, już widać. — Prawda, wcale nie zmęczyliśmy pana?

Nareszcie jest las i lipa.

Podziwiam (trzeba przecież). — „Cienista — rozłożysta...” Tak. — „I śliczna?” Śliczna. — „I taka prastara”. Uhm. — „Imponująca”. Ba! — „Sędziwa i czcigodna”. No...

Już biorą się za ręce (obowiązkowy rytuał) — okrążają drzewo — ooo!

Usiadłem. A oni biegają, śmieją się, ćwierkają, nawołują, szukają, myszkują. „No dzieciarnia, wracać, bo spóźnimy się i będzie bura!” Wracamy...

A drugim razem, powoli, wieczorkiem, już sam w odwiedziny, już na dłużej do

czcigodnej, sędziwej — już teraz sam. — Jesteś? Chcesz pogawędzić? Przyszedłem. Oglądam.

Pień. Są blizny na korze — liczne — doświadczenia jej wieków i przygody. Znak, (hieroglify przeszłości). Zaleczone. Fałdy. Zmarszczki, guzy i narośle. Ktoś kiedyś ułamał, odrąbał.

Patrzę w górę. Tłum zieleni. Cienista. Ale wysoko (widzę) — jeden wielki konar suchy, zwisa bezwładnie — czarny — gałęzie jego martwe. (Nie zauważyli młodzi szczerby w koronie drzewa).

A w dole, gdzie wychyla się z korzeniami — co to? Przysypane ziemią i zarosłe trawą? Zaczynam laską kopać — długie (jak w chorym zębie dentysta). Otwór — sięga w dół — dziupla — zapach wilgoci. No tak...

Liści też mniej i mniejsze — i zieleń ich jakby pod szronem (tyle gołym okiem widzę). Co tam i jak — pod ziemią? Jak krążą soki w zwapniałych naczyniach? Łamią kości przed deszczem? Jaki jest twój kaszel?

Kwitnie? Ale pozna pszczoła, że słodycz jej kwiatów — cóż dziwnego? — jest znużona.

Wśród czupurnej zieleni drzew, niedawno żyjących młódek, krzewin — chłystków, zielonego drobiazgu — to — ona jedna — zamyślona i samotna.

Nie powiem, o czym my tam gwarzyliśmy — ale gdy odchodzę — trzeba umieć żegnać się (odchodzę niechętnie) położyłem rękę na jej ramieniu, skinąłem głową. — Prawda, że mało ważne jedno pokolenie — (jego wybryki i psoty)? Bywaj! Trzymaj się, siostro!

Kiedy zaczyna się starość, jej samotność? Pierwszy siwy włos, pierwszy wyrrwany ząb, który nie odrośnie, pierwsza, czy dwunasta mogiła mistrza, rówieśnika wspólnej pracy, głupstw i nadziei? Czy córka (syn), który dorasta, czy dopiero wnuk? Jak to było? Pierwsze ze starością spotkanie? Zbliża się z wolna, osnuwa — czy też zaczai się i nagle ciężko zwali na barki? A ty? Bronisz się, czy ulegasz?

Czy już brak sił (a są jeszcze liczne obowiązki), czy stajesz się już mniej potrzebny i mniej pożądany, odsuwany, tolerowany, opuszczony, odepchnięty? Zawadzasz?

Czy skarga: moja wina, ich wina? Czy nie ma niczyjej winy? (Pomyłki, błędy. Taki porządek rzeczy). Nie nadążasz? Biedzisz się wśród nowych ludzi i zdarzeń?

Trzeba mieć ostry wzrok, słuch, węch, sprężyste mięśnie. A ty? Inwalida.

Samotność pośród bliskich (a dalekich) i nawet życzliwych (ale zajętych własnymi młodymi sprawami)? Czy samotność wśród

obojętnych, niechętnych? Rezydent dokuczliwy. A oni jutrem silni, bogaci, pewni siebie. Brzydka i nieprzytulna jest starość obrażona.

Samotność niemocy — zawodu — ucieczki — urazy — utraty — porażki?

Samotność może być bezludna, głucha, niewidoma — albo wypełniona ludźmi, gwarem, wiarą.

Ponura samotność nieziszczonych ambicyj, poziomego pożądania, samolubna — zaduch pustki, nudy i przesytu. Nie dzieje się już nic i nic nie wzrusza — nie pokazujesz rozwiązań, nie zadajesz pytań, — czekasz, by z zewnątrz rzucono jałmużnę wzruszeń, myśli, woli. Zimna, oschła samotność — czcza, zazdrosna, mściwa — nadęta — despotyczna. Kąsa, toczy, rozkłada...

Ktoś ty? Pielgrzym, wędrowiec, rozbitek, dezerter, bankrut, wykolejeniec, banita? A może nie znalazłeś, nie znałeś młodości? Czy, ile, co i kogo kochałeś i kochasz? Pytałeś się: gdzie ona, wybrana (gdzie on), co teraz robi, czy myśli, pamięta o mnie, czy rychło zapomni?

Nie niszcz listów! Mało zajmują miejsca. Poblakła fotografia, pokruszony kwiatek, różowa wstążeczka, listek zasuszony. Zaduma, pamiątka, wspomnienie. Różne wspomnienia: kojące, bolesne — czy i plu-

gawe, które jak topielce wypływają z przeszłości?

Żyłeś? Ile przeorałeś? Ile wypiekłeś chlebów dla ludzi? Ile zasiałeś? Zasadziłeś drzew? Ile ułożyłeś cegieł pod budowę, zanim odejdziesz? Ile przyszyłeś guzików, łatałeś, cerowałeś, ile lepiej — gorzej — wyprałeś zbrukanej bielizny? Komu i ile ciepła? Jaka była twoja służba? Jakie nagłówki rozdziałów twej drogi?

Życie? On bardzo je poplątał, czy samo splątało się jakoś — rozlało się, nie wiesz nawet jak. Nie dostrzegłeś go w porę , czy ono przeoczyło ciebie? Nie zawołało — może nie dosłyszałeś, przesłyszałeś sie, nie zrozumiałeś, nie zdążyłeś w porę? Biegłeś na zew, czy człapałeś gnuśnie?

Lekkomyślnie, czy ci je (naiwny) wyłudzili, czy (nieopatrzny!) oszwabili, wycyganili, czy rozkradli? Przegrałeś, przepiłeś? Czyś przeszachrował, niechlujnie przełajdaczył? Przegrał własne — czy i tych, co zawierzyli — zawiódł? Jak ulokowałeś kapitał wysiłków i serc, którym ślubowałeś? Chciałeś słowa dotrzymać, czy całując gotowałeś zdradę? Ile wycisnąłeś łez, ile otarłeś? Dawniej—dawno, najdawniej?

Żył, czy przyglądał się ospale, jak życie płynie obok? Sterował — czy niosło —ot— tak — i już? Nie wierzycie? Znałem takie-

go — nawet nie żeby hulał—postawny, bogato uposażony—i nic. Pasztecik, kawiorek, zalety towarzyskie. Przejadł — i już — i nic.

Rozdałeś, rozdzieliłeś, rozdałeś swe życie? Ileś bronił, o co walczył? Samotna starość — pamiętnik — i spowiedź — i bilans — i testament. Troska, by przekazać — co i komu? Sztandar! Poniesie go w życie uczeń — jedynak?

Nieważne, czy neony rzęsiście oświetlone, czy przy lamce naftowej. Kogo wsparł, gdy chwiał się, kogo uczył, drogę wskazał? Nie spekulując na pokaz i wdzięczność, nie żądając zapłaty?

Prawda, stara lipo w lesie, gdzie straszy (bo może tam nie umiano kochać). Prawda, że dobra wiele więcej na świecie — ciche, skromne, nieśmiałe — nie przeczuwa potęgi swej?

Prawda, stara lipo, że nie tak znów ważne jedno pokolenie — i że nie ma dzieci, młodzieży, starców, ani samotności — są tylko różni, różnie samotni ludzie, drzewa, zwierzęta, rośliny i kamienie?

A silna, ta stara lipa, jak milczenie jej, gdy tak oko w oko z całym życiem, z przeszłością i przyszłością—i sam na sam z Bogiem.